

## **Słowo własne na jubileuszu 80. urodzin (2010)**

### **Spis treści (śródtytuły od redakcji)**

Kolejne epoki w dziejach Polski.....	2
Koniec dwustuletniego procesu historycznego.....	2
Świat, w którym żyjemy dzisiaj.....	3
Bilans III Rzeczypospolitej.....	4
Trwonienie kapitału społecznego niezadowolenia.....	5
Konieczność zdefiniowania naszego interesu narodowego.....	6

Gdy wszedłem na tę salę i zobaczyłem fotel na środku sceny, przypomniał mi się zapomniany tekst Boya-Żeleńskiego z krakowskiej Jamy Michalikowej. Przy takiej specyficznej jak dzisiejsza okazji, sadza się na fotelu frajera – że złagodzę określenie kabaretowego wierszoklety, i każe mu wysłuchiwać, co dobrego, szczerze lub nieszczerze, myślą o nim inni. Otóż, ja nie jestem boyem do słuchania – i jeśli Państwo pozwolą, spróbuję wypowiedzieć również swoje własne słowo.

### **Kolejne epoki w dziejach Polski**

Rzeczywiście, mam już za sobą trochę lat – i to, co cenne dla historyka, parę różnych epok dziejowych. Moment naszego przyjścia na świat jest zdarzeniem drobnym i przypadkowym; jedni mają to szczęście – albo pecha, że najdłuższy nawet żywot mieszczą w jednej epoce, ja uzyskałem od Boga szansę, aby na własne oczy zobaczyć, jak jedna przekształca się w inną.

Urodziłem się w słonecznej epoce, jednej najwspanialszych w tysiącletniej historii Polski. My – dzieci, byliśmy z niej dumni, dumni byli nasi rodzice i nasi dziadkowie. Duch dziejów skazał Rzeczpospolitą na wielkość – a choć nie rozumiano, co to naprawdę znaczy, powszechnie uważano, że poradzi sobie ona z każdym przeciwieństwem losu i rozwiąże wszystkie, piętzące się przed nami problemy. Dawało to siłę, z której czerpiemy do dzisiaj.

Potem nadeszło straszliwe 15 lat pogardy i pogromu. Rozkładają się one na dwie osobne części. Najpierw był czas pieców i wielokrotnej klęski, najstraszliwszej w naszych dziejach, z której ocalała jedynie nadzieja. Niknęła ona z każdym dniem następnego, dwukrotnie dłuższego okresu cmentarnego mrozu; płynącą strugami krew zamieniała się w czerwono-brunatny lód. Pod nim, głęboko, przetrwały jednak iskierki żaru, zdolne rozdmuchać się w pożar.

Ostatkiem sił, Polska wyrwana się z tej studni – i zadowolila małym. Umęczonym ludziom wystarczała szansa przyziemnej egzystencji, pogodzili się z pozornymi koniecznościami, uznali realia epoki, gwarantowane przecież przez największe światowe mocarstwa. Nie chroniło to przed upodleniem, ale i nie gasiło pragnienia buntu. Z tego smutku stabilizacji, regresu ciemniaków i marazmu marniejących szans cywilizacyjnych wyrwać Polskę zaczęły urodzone już po wojnie generacje. Nadały one nową dynamikę, początkowo wspierając zalecaną pracę u podstaw oraz modernizacyjne wysiłki PRL, lecz gdy okazało się, że prowadzą one na manowce, zwracając się ku nowym, jeszcze bliżej nieokreślonym perspektywom.

Ten ruch pokoleniowy prawie niepostrzeżenie wprowadził nas w kolejną epokę. Jego dynamika może zdumiewać. Ujawniał się powoli – tak jak powoli dorastały kolejne roczniki, ale gdy uderzył, roztrzaskał całą strukturę zniewolenia. Bezskutecznie dławiony z licznych stron, tym łatwiej odnajdywał właściwą drogę. Całkowicie odmienił los Polaków, pociągnął za sobą pozostałe narody sukcesorskie dawnej Rzeczy Pospolitej, następnie całego Międzymorza, wreszcie dogorywającego imperium sowieckiego. Przyczynił do całkowitej zmiany rozmiaru i struktury jednoczącej się Europy, a tym samym odzyskiwania jej światowej pozycji.

### **Koniec dwustuletniego procesu historycznego**

Była to ostatnia odsłona dwustuletniego procesu historycznego. W drugiej połowie XVIII stulecia staliśmy się przedmiotem dwu wielkich ekspansji. Rosja, która powtórnie zintegrowała prawie wszystkie ziemie i ludy imperium stworzonego przez Dżyngischana, i wznowiła środkowo-azjatycki napór na Zachód, zacząć musiała od zniszczenia Rzeczypospolitej. Niemcy, przez pięćset lat rozbite i podzielone, po licznych nieudanych próbach odbudowy, zaczęli jednoczyć Prusacy, co wstępnie wymagało połączenia dwu części państwa Hohenzollernów. Te dwa mocarstwa w pierwszym impecie rozerwały państwo polskie, aby przez kilka następnych pokoleń, cierpliwie i konsekwentnie przekształcać je we własne, pograniczne pozycje.

Dwieście lat, blisko dziesięć pokoleń najpierw broniło Rzeczypospolitej, później walczyło o jej odrodzenie. Przez pierwsze stulecie koniunktura była niekorzystna: wszystkie wysiłki, jak bardzo nie byłyby heroiczne, konsekwentnie oraz starannie i rozumnie przygotowane – kończyły się coraz straszliwszymi klęskami. Pozwoliły jednak przetrwać – i gdy z początkiem XX w. koniunktura uległa zmianie, kontynuatorzy czynu powstańczego zaczęli odnosić sukcesy. Nie były one całkowite, gdyż najdotkliwsze skutki zaborów, podziały etniczne i socjalnie nie pozwalały zintegrować wysiłków. Dlatego z pierwszej wojny światowej jako państwa niepodległe wyrosły tylko Polska i Litwa, a ta pierwsza zdołała obronić siebie i osłonić Europę, lecz w imperium rosyjskim, przebudowanym na ZSRR, pozostały Ukraina i Białoruś. Jednak, mimo straszliwej katastrofy 1939-1945, zniewolona Polska zdołała utrzymać odrębność państwową. Pozwoliło to zachować przyczółek, z którego rozpoczął się ostatni szturm. Proces historyczny dobiegł kresu wraz z rozpadem ZSRR i uzyskaniem niepodległych państwowości przez wszystkie narody sukcesorskie dawnej Rzeczy Pospolitej.

Jak to często bywa, mniejsze zasłoniło większe. Świadomość ludzka formuje się pod wpływem aktualnej rzeczywistości, która wprawdzie szybko odchodzi w przeszłość, ale tkwi w umysłach i wyobrażeniach jako nadal istniejąca. W dodatku sam upadek PRL nie był wydarzeniem jednorazowym ani klarownym, niektóre relikty systemu sowieckiego przetrwały dłużej i rozpadają się powoli. Działa reguła trzech pokoleń; dopiero czwarte będzie wolne od ciężaru empirii pierwszego. Bezpośrednie doświadczenie XX-wieczne, ostrzegające, że odzyskanie niepodległości może być zaledwie czasowe, nadal jest żywe. Utrudnia to zrozumienie, że zanikło nie tylko sowieckie zniewolenie, lecz zamknięty został najbardziej ponury okres naszych dziejów. Zabory i niewola ciągle są obecne w naszej świadomości; jakkolwiek te 200 lat stanowiło względnie krótką część naszych dziejów – zaledwie jedną piątą, to dla nas najbliższą.

### **Świat, w którym żyjemy dzisiaj**

A przecież dziś żyjemy w zupełnie innym świecie. Potwory przeszłości przekształciły się mroczne zwidy, rozplywające wraz z upływem czasu. Skończyło się podwójne, historyczne zagrożenie ze wschodu i zachodu. Rozpad ZSRR był katastrofą imperialnej Rosji, zredukowanej w Europie i Azji centralnej do odziedziczonych po Złotej Ordzie granic z XVI wieku, z trudem utrzymującej kontrolę nad zdobyczami dalekowschodnimi. Towarzyszy temu regres cywilizacyjny i gospodarczy; z mocarstwa przemysłowego, jakim ZSRR był jeszcze w latach '80, pozostał kraj surowcowy, przy czym pozornie zyskowna wyprzedaż ropy i gazy wygaśnie w ciągu 20 czy 40 lat. Ważniejsze jednak jest nowe otoczenie Rosji. Odszedł bezpowrotnie czas, w którym to państwo znajdowało się w geopolitycznej pustce i mogło cały swój wysiłek skupić na jedynej aktywnej granicy – europejskiej. Skończyła się również epoka wielkiej i silnej Rosji pomiędzy małymi i słabymi. Dzisiaj to ona jest mała pomiędzy wielkimi: młodymi, prężnymi, błyskawicznie rosnącymi potęgami Chin, Indii, Japonii, integrującego się świata islamskiego, zjednoczonej Europy. Rosja dysponuje nadal rozległym terytorium, w połowie wieczną marzłocią, lecz - niedoludniona i niedorozwinięta gospodarczo, pozostała tym bardziej niezdolna do jego zagospodarowania. Fakty są bezlitosne: PKB Federacji Rosyjskiej i Południowej Korei oscylują wokół tego samego poziomu – przy czym rosyjski zależy nie od stanu jej gospodarki, tylko od światowej koniunktury na surowce energetyczne. Gdy oba państwa koreańskie zjednoczą się (co nastąpi zapewne w nadchodzącym dwudziestolecium), również liczbą ludności zrównają się z Rosją. Taka jest dzisiejsza perspektywa niedawnej potęgi.

Do katastrofy ekspansywnego mocarstwa niemieckiego doszło pół wieku wcześniej. Odbudowano inne państwo, wstrząśnięte przerażającą klęską, od samego początku wkomponowane w rozwijające się struktury atlantycko-europejskie. To nadaje RFN zupełnie nowy kierunek.

Przypomnijmy, że odrodzona w XIX w. Rzesza pojawiła się w nieprzyjaznej jej ambicjom Europie; wszędzie byli wrogowie, których trzeba zniszczyć. Dzisiaj Niemcy bardziej niż inne kraje uwikłane są w system europejski i potrzebują aktywnej obecności innych; od partnerskiej współpracy z pozostałymi krajami Unii zależy ich przyszłość, bezpieczeństwo i dobrobyt. Niewątpliwie, działają skutki dwu zjednoczeń, dokonanych na przestrzeni półtora stulecia; RFN jest pierwszym krajem Europy pod względem liczby ludności oraz rozmiaru gospodarki. Lecz te proporcje ulegają zmianie, nie tylko z każdym poszerzeniem integracji, lecz przede wszystkim w następstwie rozwoju uboższych krajów UE i całej Wspólnoty. Niemożliwe stało się nawet odzyskanie prymatu, jaki w latach '60 Francja i Niemcy posiadały w EWG. Tym bardziej nierealne byłoby dążenie, aby uzależnić pozostałe kraje UE, czy choćby naruszyć wewnętrzną równowagę naszego kontynentu.

Uznawać za trwające historyczne zagrożenie ze strony Rosji i Niemiec – to całkowite oderwanie od rzeczywistości. Lepsze czy gorsze, państwa te dzisiaj reprezentują inne wartości geopolityczne, funkcjonują w całkowicie odmienionej Europie i w przeobrażonym świecie. Mamy wprawdzie z nimi różne problemy, lecz zupełnie innego niż kiedyś rodzaju. Z Niemcami głównie dotyczące wspólnych spraw Unii oraz wynikające ze zbieżności czy niezbieżności jakichś szczegółowych interesów. Z Rosją ułożenie wzajemnych stosunków jest niewątpliwie trudniejsze, w głównej mierze ze względu na rozmaite kłopoty, jakie dręczą naszych wschodnich sąsiadów: kraje bałtyckie, Białoruś, Ukrainę czy Gruzję, co bezpośrednio dotyczy i naszego interesu narodowego.

Współczesna Polska znalazła się w niespotykanej od wieków sytuacji. Przy niewielkim wkładzie własnym mamy zabezpieczone bezpieczeństwo międzynarodowe, nasza gospodarka uzyskała nie tylko korzystne warunki rozwoju, lecz bezpośrednią pomoc materialną w rozmiarze, którego nigdy nie doświadczyliśmy. Tworzy to wyjątkową szansę. Ale nie będzie ona trwać wiecznie.

Zawsze są jakieś zagrożenia, mniej czy bardziej widoczne. Rzeczpospolita nie leży już między dwoma agresywnymi mocarstwami, lecz wraz z całą Europą znalazła się pomiędzy kilkoma potęgami – ukształtowanymi albo dopiero formującymi się. Każde z nich dysponuje co najmniej ćwierć miliardem mieszkańców i ogromną, błyskawicznie rozwijającą się gospodarką. Formują się wielkie bloki cywilizacyjne, ścierające wszystko, co chciałoby pozostać na uboczu. Globalizacji nadaje nowy wymiar, pozytywny i negatywny, słabo kontrolowalnym procesom ponadpolitycznym.

W takich warunkach budować należy przyszłość Polski – ale i najbliższych nam krajów, bo w Europie przecież nie jesteśmy sami. Wprawdzie tym razem cieszyć się możemy dobrym położeniem – osłoniętym i oddalonym od głównych stref ewentualnych konfliktów. Nie umniejsza to naszej odpowiedzialności.

### **Bilans III Rzeczypospolitej**

Trzecia Rzeczpospolita ma już za sobą pierwsze dwadzieścia lat, a bilans ogólny jest pozytywny. Gołym okiem widać ogromny skok cywilizacyjny całego kraju. W głównej mierze jest on prostym następstwem przywrócenia niepodległości państwowej, demokracji i swobód obywatelskich – wykorzystanych owocnie przez upartą, samoistną aktywność milionów Polaków. Te proste rezerwy przestają jednak wystarczać. Stworzyliśmy warunki niezbędne dla pełnego rozwoju: niepodległość, obywatelski charakter państwa, racjonalną gospodarkę, uczestnictwo w UE i NATO – dalej możemy uzyskiwać tylko szczegółowe ulepszenia. Teraz te sprzyjające warunki trzeba w pełni wykorzystać.

Że nie jest to łatwe, dowiodły ostatnie dwie dekady. Na pewno nie zabrakło dobrych intencji. Zbyt często zawodziła realizacja. Może największym brakiem stała się niezdolność do

utrzymania dynamiki pokoleń, które doprowadziły do odzyskania niepodległości, a także przeniesienia tego impetu na następne generacje. Chwilami można odnieść wrażenie, że u samych narodzin Trzeciej Rzeczypospolitej zwyciężyła obawa, że taka niekontrolowana eksplozja energii może zaprowadzić nas zbyt daleko. Nadmierna ostrożność, połączona z niewystarczającym przygotowaniem dawała o sobie znać i później. Spośród 15 premierów, których miała Trzecia Rzeczypospolita, wielu nie spełniło nadziei, pokładanych w nich nie tylko przez ogół obywateli, lecz zwłaszcza przez tych, którzy bezpośrednio udzielili im wyborczego wotum zaufania. Polska jest jednym z niewielu liczących się państw europejskich, w którym – jak dotychczas, żaden rząd, początkowo najbardziej nawet popularny, nie przeżył próby następnych wyborów. Wynikało to w niemalym stopniu z dysproporcji pomiędzy ogromnymi oczekiwaniami społecznymi a ograniczonymi możliwościami, wymagającymi środków i czasu. Nie jest to jednak ani jedyna, ani główna przyczyna. Polityka – roztropna troska o dobro wspólne, często zastępowana przez prymitywne politykierstwo i zwykłą prywatę, nie była silną stroną minionych dziesięcioleci; zbyt często brakowało rozumu i najprostszej odpowiedzialności.

### **Trwonienie kapitału społecznego niezadowolenia**

Te niedostatki, a także nierównomierność uzyskiwanych rezultatów i brak rzetelnego, merytorycznego wyjaśniania prowadzonej polityki spowodowały, że spora część społeczeństwa jest niezadowolona, zawiedziona, a nawet czuje się pokrzywdzona. To niewątpliwie mniejszość, ale liczna i ważna. Skupia nie tylko tych, którzy uważają, że zrobione za mało albo źle, lecz również przekonanych, że Polskę stać na więcej i lepiej. Nie wolno tej mniejszości, przecież tak licznej, lekceważyć, ani zbywać uwagami, że w swoim malkontenctwie nie dostrzegają tego, co udało się dokonać. Trzeba docenić, że niezadowoleni bardziej niż zadowoleni tworzą twórczy potencjał, który – należycie wykorzystany, może dokonać rzeczy wielkich.

Jak na razie, ten kapitał niezadowolenia jest trwoniony. Zapewne najgorszym reliktem sowietyzmu pozostało dychotomiczne dzielenie społeczeństwa na dobrych, którzy tworzą oraz złych, którzy niszczą – przy czym ci ostatni zasługują tylko na nienawiść i pogardę, a powinni zostać całkowicie wyeliminowani. Tak w ZSRR, a za nim w PRL traktowano tzw. wrogów ustroju, czyli tych, którzy przeciwstawiali się komunistycznemu zniewoleniu i sowieckiej hegemonii. Społeczeństwo nie dzieliło się jednak na dwie, antagonistyczne wobec siebie części, gdyż przytłaczająca większość nie należała do którejkolwiek z tych grup, pochłonięta problemami trudnej egzystencji w niesprzyjających warunkach siermiężnego socjalizmu. Fundamentalnej wrogości władzy gnębione środowiska oporu i opozycji przeciwstawiły podobną zajadłość; wraz z rozwojem ruchów solidarnościowych, objęła ona większą część społeczeństwa. Było to zrozumiałe, gdyż dychotomia była rzeczywista: albo Polska odzyska niepodległość i stanie własnością obywateli – albo pozostanie zniewolona i uciemniona. Kompromis między tymi zamkniętymi alternatywami był niemożliwy. Sprawy poszły jednak tak daleko, że niektórzy, odwzorowując modele totalitarne (innych nie znali!), uzurpowali sobie monopol na prowadzenie działalności opozycyjnej, gdy inni uznali tylko siebie za prawdziwych Polaków. Przygaszone odzyskaniem niepodległości, takie postawy wkrótce ożyły, a w ostatniej dekadzie przybierają na sile. Generalnie zwyrodniałe, w demokratycznym państwie są one absurdalne. Warunkiem sine qua non wszystkich systemów demokratycznych jest pluralizm polityczny: politycy muszą różnić się przekonaniami i programami, które chcą realizować – aby obywatele mogli pomiędzy nimi wybierać. Dobrze prowadzone państwo wymaga większości – która rządzi, oraz opozycyjnej mniejszości, która tamtych kontroluje i stanowi wobec nich alternatywę. Likwidacja jednej z tych stron prowadzi nie tylko do zaniku demokracji, lecz przede wszystkim do kryzysu samego państwa. Zastąpienie

rywalizacji politycznej przez pełną nienawiści walkę na wyniszczenie jest najgorszym zagrożeniem samego bytu ojczyzny.

Mamy, niestety, takie doświadczenia. Przywołany przeze mnie wyżej 200-letni czas narodowych nieszczęść rozpoczęty został w ostatnich miesiącach panowania króla Augusta III Sasa, gdy w obliczu nadchodzącej elekcji potężne stronnictwo Czartoryskich, aby pognać rywali, wyprosiło w Petersburgu wsparcie przez armię rosyjską. Przez poprzednie 30 lat Rzeczpospolita była przedmiotem rywalizacji, później sporu, wreszcie walki dwu potężnych partii – zwanych hetmańską i „Familiją” Czartoryskich. Siły były wyrównane, co spowodowało, że wszystkie Sejmy zwołane w tym okresie, zostały zerwane, aby uniemożliwić sukces czasowej i niepewnej większości. Liberum veto chroniło przed wojną domową - w owych stuleciach typową dla Europy metodą rozstrzygania politycznych sporów, ale chroniło do czasu. Historycy w tym sporze programowym rację przyznają na ogół Czartoryskim, co nie zmienia faktu, że zaślepieni nienawiścią, przekonani o swojej absolutnej słuszności i w dobrych intencjach, wprowadzili do Polski Moskali. Obce bagnety miały ratować ojczyznę. Od tej pory, z nielicznymi przerwami (najdłuższą stanowiła Druga Rzeczpospolita), aż do początków lat '90 armia rosyjska, stacjonując w Polsce, była skutecznym instrumentem jej zniewolenia.

Jeśli głównego wroga znajduje się we własnym, niepodległym i demokratycznym kraju; jeśli za cel naczelny uznaje się jego doszczętne zniszczenie; jeśli porusza się wszelkie, dobre i złe emocje oraz buduje nienawiść do tego, co jest częścią narodu i wspólnej ojczyzny – możliwe są tylko dwa rozwiązania. Albo należy zaprowadzić totalitarną dyktaturę – bo tylko ona umożliwia całkowitą likwidację przeciwników politycznych. Albo, co łatwiejsze, wezwać na pomoc kogoś z zewnątrz – takiego, który uczyni to we własnym interesie (bo inny nie będzie chciał się angażować).

Polskie spory wewnętrzne nie doszły jeszcze tak daleko – ale nadmiernie daleko. Nienawiści, złe emocje polityczne zaczynają rozrywać przyjaźnie, dzielić bliskich, często tak samo myślących, uznających te same wartości ludzi. Mówię te słowa, gdy trwa kampania wyborcza. Niech Państwa nie dziwi jej pozorna ospałość, nie myślą miłe słówka i ciepłe uśmiechy. To lep, aby pozyskać głosy. Serdeczność Radziwiłła Panie Kochanku, układność Stasia Poniatowskiego. W rzeczywistości trwa bezpardonowa walka. Czy, aby ją rozstrzygnąć jednym ciosem, potrzeba będzie, jak w XVIII wieku, aż trzydziestu lat?

Problem jest znacznie głębszy niż się wydaje – i nie zostanie rozwiązany przez polityczne zwycięstwo jednej ze stron. Tworzą się już odmienne wizje Polski; ich autorzy nie potrafią jeszcze pełniej sprecyzować jej pożądanego oblicza, lecz już pobudzają emocję i przyczyniają się do tworzenia irracjonalnego przekonania, że mogą istnieć dwie, walczące z sobą Polski. Czyżby zabrakło tego, co zawsze łączyło Polaków?

Nie wolno obok takiej groźby przejść obojętnie.

### **Konieczność zdefiniowania naszego interesu narodowego**

Za tydzień czy trzy wybierzemy Prezydenta Rzeczypospolitej. Nosiciel tego urzędu jest szczególnie predestynowany do wypełnienia niebacznie pozostawionej luki. Przez dwadzieścia lat istnienia Trzeciej Rzeczypospolitej nie sformułowano, na czym polega nasz interes narodowy – łączący wszystkich, swoista busola, wyznaczająca generalny kierunek wspólnej aktywności. Wprawdzie potrzeba taka została podniesiona już w toku kampanii poprzedzającej pierwsze wybory prezydenckie w 1990 r., ale do dzisiaj nie spotkała się z odzewem. Do wyobraźni niektórych w ogóle nie trafiła, innych – uwięzionych w ideologicznych formułkach, raził sam przymiotnik narodowy – rozumiany jako etniczny. Dla większości sprawa wydaje się bezprzedmiotowa: interesu narodowego nie trzeba formułować, bo jest zrozumiałą sam przez siebie. Polska ma być

niepodległa, solidarna, demokratyczna, samorządna, obywatelska, tolerancyjna, przestrzegająca zasad moralnych i reguł gospodarki rynkowej – i tak dalej. Rzeczywistość nie składa się jednak ze sloganów, tylko z bardzo konkretnych, precyzyjnych rozwiązań – bardzo mocno osadzonych we właściwym im czasie. Czy podporządkowanie się decyzji międzynarodowego gremium o ograniczeniu emitowania tlenku węgla, czy o obowiązkowemu szczepieniu na ospę, albo o zasadach konkurencji w gospodarce jest naruszeniem naszej suwerenności? A jeśli nie – to co? Mówiąc o niepodległości, konieczne jest określenie, gdzie współcześnie znajduje się nasze non possumus – granica, której nie wolno przekroczyć. A cóż to znaczy: Polska solidarna? Taka, w której wszyscy lojalnie wspomagają wszystkich? A może taka, w której działają w myśl dyrektyw, ustalonych na ostatnim posiedzeniu Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność”, gdy pozostali kontynuują tradycję ZOMO?

Przy różnych okazjach – i w różny często sposób, niektóre szczegółowe kwestie, wynikające z mglistego rozumienia naszego interesu narodowego próbowano precyzować. Zdania były podzielone, dyskusja rozplątywała się w sloganach. Do następnego razu, gdyż niektórych kwestii nie sposób ominąć.

Jeśli wiemy, jakiej Polski chcemy, nie bójmy się tego sprecyzować. Kierunek, w jakim rozwija się kraj, zakres aktywności i priorytety w aktywności wewnętrznej i międzynarodowej nie mogą być uzależniane od czasowych potrzeb czy nagłych, a przypadkowych zdarzeń – jakiś starań o dobre wyniki w sondażach, chwilowego widzimisię niedouczonego polityka, głośnego niezadowolenia pracowników jednego zakładu. Kompromis pomiędzy stronnictwami politycznymi, nawet ograniczony do obsady stanowisk w telewizji, doprowadzić może do najgorszych skutków – a cóż dopiero, jeśli miałby dotyczyć filarów naszego narodowego bytu?

Błędem najwyższym byłoby, gdyby same stronnictwa polityczne, zasiadające w Sejmie po części dlatego, że korzystają z państwowych dotacji, określały nasz interes narodowy w toku negocjacji i wzajemnych polemik, dobrze już znanych z przekazów telewizyjnych. Prezydent Rzeczypospolitej, wybrany przez bezwzględną większość aktywnych obywateli, wydaje się najbardziej uprawniony do podjęcia takiego zadania. Rzeczą będzie niełatwa, wymagająca czasu, rozwagi i odpowiedzialności. Nie wystarczy tzw. publiczna dyskusja, sprowadzająca się do serii publikacji prasowych i polemik na forach internetowych. Sprawa powinna być przedyskutowana merytorycznie w przez kompetentnych ludzi o różnych przekonaniach, rozwijana i analizowana w poszerzających się systematycznie gremiach, a dopiero, gdy uzyska dość konkretne kształty, przekazana do debaty politycznej i oddana pod osąd opinii publicznej. Znalezienie consensusu w fundamentalnej dla Rzeczypospolitej sprawie będzie trudne, lecz jest przecież konieczne.

Kiedy, jeśli nie dziś, podjąć takie wyzwanie?

*Warszawa, 13 czerwca 2010 roku*